

# Z PKF przez Polskę i świat – Joy Bangła

27 maja 2019

Do Kalkuty przylecieliśmy samolotem rejsowym Air India wraz z panem Jerzym Szpunarem, konsulem polskim w Dhace. Przez cztery dni konsul starał się zorganizować transport do Dhaki. Wreszcie dostał wiadomość, że w Kalkucie wylądował samolot z Rawalpindi, którym będzie wracał z pakistańskiego więzienia do Dhaki szejek Mudżibur Rahman, przywódca zbuntowanych Bengalczyków, skazany przez sąd wojskowy w Islamabadzie na karę śmierci.

Obiecano, że szejek Rahman po wylądowaniu w Kalkucie zabierze nas do Dhaki. Dla konsula ta wiadomość była zrozumiała, polska placówka bowiem pomagała rodzinie Mudżibura Rahmana, gdy Pakistańczycy przetrzymywali ją w areszcie domowym. Wicekonsul, Roman Polak, dostarczał wtedy żywność i leki, oczywiście nielegalnie. Niestety, samolot pojawił się nad lotniskiem, ale nie wylądował. Odlecieliśmy kilka godzin później wojskowym samolotem transportowym. Mieliśmy szczęście – z Kalkuty do Dhaki latały wówczas tylko samoloty wojskowe. Komunikacja cywilna, na początku stycznia 1972 roku nie istniała. Wylądowaliśmy w stolicy Bangladeszu późnym wieczorem.

## Nowe przyjaźnie

Lotnisko w Dhace praktycznie nie funkcjonowało i sprawiało wrażenie opustoszałego. W miejscu, gdzie kiedyś pracowali celnicy i służby graniczne, siedział jakiś znudzony mężczyzna z karabinem, długo szukał pieczętki, by podstemplować nasze paszporty. Nie spytał, co wwozimy, choć nie mógł nie zauważyć dość dużego bagażu służbowego (kamery w metalowej walizce, taśmy filmowej w specjalnych pojemnikach, statywu, kanistra ze

spirytysem, do przemywania obiektywów, magnetofonu, zestawów oświetleniowych i trzech walizek osobistych: Sławka Sławkowskiego – operatora PKF, Bogdana Saganowskiego – asystenta i mojej – najmniejszej, oczywiście.

Nazajutrz rano, gdy udaliśmy się do centrum miasta usłyszeliśmy okrzyki manifestujących mieszkańców Dhaki: „Joy Bangla, Joy Bangla” – raduj się Bengaliu! Przez cały czas pobytu będziemy słyszeć to zawołanie.

„Joy Bangla” – pozdrawiają nas uczniowie, „Joy Bangla” – wołają manifestujący żebracy, „Joy Bangla” – rozlega się na zatłoczonych drogach i rzecznych przepławach. Tłumy Bengalczyków wyrażają w ten sposób radość z odzyskania niepodległości i przepędzenia Pakistańczyków, traktowanych od początku powstania Pakistanu Wschodniego jak okupantów, bowiem oprócz religii nic ich z Pakistanem nie łączyło.

Przez pierwsze dziesięć dni byliśmy w Dhace jedyną zagraniczną ekipą filmową. Zamierzaliśmy nawet wysłać do Warszawy z Chittagongu (tylko to portowe miasto utrzymywało łączność ze światem) naeksponowaną (naświetloną) taśmę, ale pomysłu nie zrealizowaliśmy, z powodów czysto prozaicznych. Prywatny samolot, który woził pocztę, pobierał opłatę w dolarach amerykańskich, a my dysponowaliśmy tylko niewymienialnymi wtedy w Bangladeszu na żadną zachodnią walutę, rupiami indyjskimi.

W Dhace konsul Szpunar zaproponował, żeby zrezygnować z hotelu. Sławek i Bogdan rozlokowali się w pokoju gościnnym konsulatu, a ja skorzystałem z uprzejmości wicekonsula Romana Polaka. Jego mieszkanie świeciło pustką, bowiem żony i rodziny pracowników wyjechały do kraju, gdy rozpoczęła się dziewięciomiesięczna wojna z Pakistanem. Pracownicy placówki: konsul, wicekonsul, szyfrant i pan, który zajmował się zakupami juty, zwany „juciarzem” stanowili cały personel.

Pierwszy wieczór, zaraz po przylocie, spędziliśmy w konsulacie

opowiadając o kraju, bo tu wieści z nad Wisły nie docierały przez cały czas wojny. Na wspólnej kolacji, przekonałem się, że Sławek Sławkowski to nie tylko utalentowany operator filmowy, ale i zaradny życiowo człowiek. Kiedy na stole nasi gospodarze rozstawili egzotyczne potrawy, Sławek wparadował do salonu z butelką złocistego płynu w ręce i przeprosił wszystkich za zaniedbanie, którego się dopuścił, przywożąc spirytus bez soku z mazowieckich wiśni. Piliśmy więc „grejpfrutówkę”, która naszym rodakom smakowała prawie tak samo jak wiśniówka.

Uprzedzę tu pewne fakty. Spirytus przeznaczony do przemywania sprzętu, okazał się środkiem bezcennym. Otwierał wiele drzwi, ułatwiał kontakty dyplomatyczne i towarzyskie. Grejpfrutówka smakowała szczególnie konsulowi radzieckiemu – składał często przyjacielskie wizyty tak długo, aż zakomunikowaliśmy mu, że spirytusu już nie ma. Wtedy nasze więzy bardzo się rozluźniły. Sławek ponadto był mistrzem w nawiązywaniu bliskich kontaktów z przedstawicielami różnych nacji, jego szeroko otwarta dusza słowiańska zjednywała mu przyjaciół w armii indyjskiej, wśród oddziałów Mukti Bahini, urzędników kancelarii premiera i wojskowych bengalskich.

Pewien Sikh, pułkownik armii indyjskiej, zaprosił nas nawet do siebie na kolację, nie tylko nas, ale także przedstawicieli armii bengalskiej, jak również cywilów ze sfer zbliżonych do demokratycznego rządu. Na przyjęciu nie było ani jednej damy. „Same chłopcy!” Sławek oczywiście przyniósł flaszeczkę mazowieckiej „grejpfrutówki.” Napój wywarł nadspodziewanie piorunujące skutki. W takt indyjskiej i bengalskiej muzyki rozpoczęły się tańce. Pamiętam, że tańczyłem z hinduskim pułkownikiem, miał on na głowie gustowny turban, więc się prezentował bardzo efektownie.

Mazowiecka grejpfrutówka (podejrzewam, że nie była to jedna butelka) rozweseliła i wprawiła naszych nowych przyjaciół w doskonały nastrój. Piliśmy bruderszafty i przysięgaliśmy sobie dożgonną przyjaźń. Sławek nie zwlekając zapytał pułkownika,

kiedy pojawią się damy. Zjawiły się natychmiast: siostry, kuzynki, a nawet żony, no może nie te pierwsze, ale drugie z pewnością, bawiliśmy się wszak w świecie muzułmańskim, a muzułmanie są gościnni tak samo jak chrześcijanie! A może nawet bardziej gościnni.

Pierwszy dzień wolności

Następnego dnia w wielkiej sali pałacu gubernatora (spotkaliśmy tu wielu naszych nowych przyjaciół) filmujemy uroczystość zaprzysiężenia rządu. Sędzia, w ogromnej jasnej peruce na głowie, przyjmuje od premiera wolnego Bangladeszu, Mudżibura Rahmana, uroczystą przysięgę. Ale to nie sędzia w angielskiej peruce wzbudza powszechne zainteresowanie. Oczy zgromadzonych w tej sali zwrócone są na szejka Rahmana, który pokieruje państwem, zwanym do niedawna Pakistanem Wschodnim, a teraz Bangladeszem. Zebrani wiedzą, że jest to zadanie gigantyczne, zważywszy, że tylko 18 procent tego 75-milionowego społeczeństwa umie czytać i pisać! Ten pięćdziesięciodwuletni mężczyzna jest nie tylko przywódcą kraju, ale autentycznym bohaterem narodu, symbolem walki o niepodległość. To on uzmysłowił prawdę Bengalczykom mówiąc, „że dotychczas byliśmy traktowani [przez Pakistan przyp. M.Ch.] jak kolonia i rynek zbytu”.

Szejk Rahman cieszy się pełnym zaufaniem większości Bengalczyków. Z dzieciinną wiarą i miłością nadali mu przydomek „Bangabundhu” – ojciec narodu. Miłość do premiera jest tak widoczna i ogromna, że w duchu stawiam sobie pytanie: czy jeden człowiek sprosta pokładanym w nim nadziejom? Filmowaliśmy Bangladesz dosłownie w pierwszych dniach wolności. Udzielały się nam ich radość i uniesienie, jednocześnie przerażało to, co zapisywaliśmy na taśmie.

## **Krajobraz po wojnie**

Wojna z Pakistanem trwająca dziewięć miesięcy pogrążyła ten najbiedniejszy kraj świata w niespotykanej nędzy. Za wolność

kraju ludność Bangladeszu zapłaciła ośmioma tysiącami spalonych wsi, prawie trzema milionami ubitych sztuk bydła, siedmiuset pięćdziesięcioma zniszczonymi fabrykami, trzystoma zburzonymi mostami, tysiącami spalonych szkół, i dziesięcioma tysiącami zamordowanych nauczycieli. Wszystkich zabitych nie zdołano jeszcze wtedy policzyć. Szacowano, że było ich około cztery miliony. Cztery miliony istnień ludzkich w ciągu dziewięciu miesięcy! I prawie dziesięć milionów uchodźców, którzy znaleźli schronienie w Indiach.

Na początku stycznia 1972 roku, na wiecu w Dhace, gdzie zgromadziło się ponad milion ludzi, Mudżibur Rahman mówił o zbrodni ludobójstwa, jakiego dopuściła się armia Jahyi Khana.

Harikarparę nazywają wsią grozy. Wody Burigangi, przez cały kwiecień 1971 roku, miały kolor czerwony od krwi. Żołnierze pakistańscy mordowali tu ludzi od świtu do zmierzchu. Początkowo strzelając z karabinów. Później – dla oszczędności amunicji – wiązano przeznaczonych na śmierć sznurami z juty po ośmiu, po dziesięciu, z rękami wykręconymi do tyłu, potem rozcinano im brzuchy i wrzucano do rzeki. Naoczni świadkowie zbrodni, stara kobieta i jej mąż, mówią nam: nocami, kiedy zapadała cisza, słychać było jęki umierających. Żołnierze wymordowali niemal wszystkich mieszkańców wsi. Zwozili tu Bengalczyków z innych miejscowości. W kwietniu ubiegłego roku, zamordowali w Harikarparze dwadzieścia tysięcy ludzi! Nie kopano grobów, wody rzeki pochłaniały ciała pomordowanych. Idziemy brzegiem Burigangi, co kilka kroków leżą szerniałe od mułu ludzkie czaszki i szkielety.

Harikarpara nie jest wyjątkiem. Czaszki ludzi widziałem na brzegu rzeki w Narayanganj, na ryżowiskach Tangail i na łąkach w pobliżu Dhaki. Ludzie zubożeli tu na śmierć. Z twarzami przysłoniętymi białymi chustami zbierają szczątki pomordowanych. Mnie brzegi Gangesu, Burigangi i Jamuny długo się jeszcze śniły. Egzotyczne krajobrazy przesłaniały mi zgliszczą bengalskich wsi.

Kwiaty, które oglądałem w Bengalii – wielobarwne, o baśniowych kształtach – nie cieszyły moich oczu. Do dziś, po tylu latach, nie mogę zapomnieć nędzy uchodźców, rozognionych oczu dzieci umierających tak wprost na ziemi, w obozowiskach, pod gołym niebem.

W Comilli, mieście położonym nad granicą z Indiami, komendant policji wiezie nas do zacisznej doliny otoczonej niewielkimi wzniesieniami, nad którą unosi się mdlący zapach ekshumowanych zwłok. Ludzie odkopujący zbiorowe groby z ledwością wytrzymują upał i trupi zapach. Nie pomagają zawiązane na twarzy chusty, co pół godziny muszą się zmieniać. Przywołano nas tu na świadków ludobójstwa. Nikt nie potrafił, nawet w przybliżeniu, określić liczby zamordowanych w tej zacisznej dolinie. Nieopodal, w koszarach inne zbiorowe groby. Zachowały się jeszcze mundury, czapki, dystynkcje. Bez sądu, bez wyroku Pakistańczycy zabijali tu oficerów pochodzenia bengalskiego.

## **Kobiety – ofiary konfliktu**

Styczeń w Dhace można nazwać miesiącem radości i nadziei, ale także miesiącem liczenia strat i żałoby. Oto zupełnie przypadkiem spotykamy pochód kobiet. W długiej kolumnie przemarszu ustawiły się matki z małeńkimi, nagimi dziećmi na rękach i młode piętnasto – szesnastoletnie dziewczyny. Co jakiś czas z magnetofonu zainstalowanego na rikszy rozlegają się hasła, kobiety podnoszą ręce w górę i skandują najgłośniej jak tylko można, ale nie radosne „Joy Bangla” tak popularne w tych dniach w całym kraju, lecz słowa twarde, słowa rozpacz. Kobiety oskarżają barbarzyńską armię pakistańską. Nad ich głowami powiewają czarne flagi, choć nie jest to pochód anarchistek, a słabych i bezbronych kobiet, ofiar wojny.

Zdemoralizowana armia Jahyi Khana dopuściła się nie tylko zbrodni ludobójstwa. Żołnierze przysłani tu przez Islamabad plądrowali domy, grabili mieszkania. Urządzali łapanki, uprowadzali córki od ojców i żony od mężów, wywozili do koszar

i tam gwałcili – w całym kraju spotkało to ponad dwieście tysięcy kobiet. Teraz, gdy inni cieszą się wolnym państwem, one nie mogą wrócić do swoich rodzin. Tradycja muzułmańska na to nie pozwala. Ojcowie nie wpuściliby do domów skalanych córek, mężowie – żon. Bez dachu nad głową, bez środków do życia przeklinają prześladowców i manifestują swoją rozpacz! Wiele dni później, na spotkaniu z bengalskimi działaczkami społecznymi, dowiemy się, że tysiące kobiet, nie chcąc żyć z piętnem hańby, popełniło samobójstwo.

Na spotkanie działaczek zaprosiła nas pani Murjahan Murshed. W czasie wojny schroniła się w Indiach. Jako deputowana do zgromadzenia narodowego Bangladeszu, z ramienia Ligi Awami, wystąpiła w indyjskim parlamencie w New Delhi, za co w Islamabadzie otrzymała wyrok.

Przyszły na to spotkanie kobiety ze wszystkich warstw społecznych. Swoją przedstawicielkę delegował także związek zawodowy żebraczek. Spotkanie odbywało się w ogrodzie Murjahan Murshed. Bengalki debatowały, jak się zorganizować, by uczestniczyć w tworzeniu demokratycznego państwa. W czasie bardzo ożywionej dyskusji, kiedy przemawiała pani Taslima Abed, z wieży pobliskiego meczetu rozległ się głos mułły, wzywający wiernych do modlitwy. Taslima Abed natychmiast zamilkła i kornie skłoniła głowę przed Allahem. Ręce zebranych tu kobiet przysłoniły twarze lśniącem jedwabiem... W rezolucji skierowanej do premiera Rahmana panie zażądały dla swojej przedstawicielki stanowiska w rządzie, zaproponowały aby – jak mężczyźni – mogły przechodzić przeszkolenie wojskowe.

Po spotkaniu zostaliśmy zaproszeni na herbatę, by w wąskim gronie wymienić poglądy. Organizatorki debaty zasypały nas pytaniami o pozycję kobiet w Polsce, o szkolnictwo, służbę zdrowia, pracę zawodową.

Nurunnessa Chowdury, poetka i dziennikarka, autorka zbiorów wierszy („Czekanie na gwiazdę”, „Płonący las” i „Echo”) gdy podzieliłem się z nią swoimi spostrzeżeniami na temat

zachowania kobiet w czasie pieśni mułły, gorąco mnie przekonywała, że nie religia lecz warunki społeczne i analfabetyzm są największymi przeszkodami na drodze wyzwolenia kobiet.

## **Bojownicy wolności**

Przed konsulatem polskim pewnego dnia zgromadziła się liczna grupa młodych mężczyzn, uzbrojonych w karabiny i granaty. Przyszli zademonstrować swoją sprawność i odwagę. Był to oddział Mukti Bahini – bojowników wolności. Formacje Mukti Bahini odegrały w walce z armią pakistańską ważną rolę.

W szeregi bojowników wolności wstępowali ludzie młodzi, przede wszystkim studenci, młodzież robotnicza i chłopska. Prawdziwa partyzantka, licząca ponad sto tysięcy bojowników. Wysadzali pociągi, likwidowali posterunki policji, dezorganizowali sprawność pakistańskiej armii. Zwalczali przeciwników i kolaborantów. Nie byli jedyną formacją, ale najsilniejszą i najliczniejszą. Teraz, gdy ustały walki, stali się radykalną siłą polityczną. Ocalili nam życie, gdy w drodze do Jessore zostaliśmy ostrzelani przez grupę zbłąkanych Pakistańczyków. Oddział Mukti Bahini szedł tropem niedobitków i odpowiedział ogniem.

Bangabundhu wezwał wszystkie uzbrojone formacje do złożenia broni. Wyznaczył dziesięciodniowy termin. Część oddziałów Mukti Bahini postawiła warunki i zażądała gwarancji: dla studentów, członków Mukti Bahini – bezpłatnych studiów, dla robotników – pracy, dla tych, którzy nadal zechcą nosić broń – służby w policji i wojsku. Premier musiał przedłużyć terminy.

Inauguracyjne, uroczyste składanie broni odbędzie się w Tangail, w mieście oddalonym od Dhaki o 75 kilometrów. Wybrano to miasto nieprzypadkowo. Oddziałami Mukti Bahini dowodził w tym rejonie sławny na cały kraj Kader Siddiki – „Tiger Tangail”. Zasłynął odwagą i nadzwyczajną szybkością działania podległych mu formacji, stąd ten przydomek. Ze stolicy



wyjechaliśmy zaraz po wschodzie słońca. Na całej trasie stały już niezliczone tłumy. Bengalczycy przyszli tu, by zobaczyć na własne oczy szejka Mudżibura Rahmana. Pierwszy raz w życiu widzę wzdłuż drogi, ciągnącej się przez siedemdziesiąt pięć kilometrów tysiące, mężczyzn i kobiet. Przyszli witać Bangabundhu już o wschodzie słońca, choć wiedzą, że pojedzie tędy dopiero po południu.

W Tangail, na polach za miastem, gromadzi się ludzkie mrowisko. Pytam Sławka i Bogdana, ile osób stoi na placu? Czteryście, może pięćset tysięcy, a wskazówki zegarka pokazują dopiero 9,30. Przed trybuną czeka szesnaście tysięcy walecznych ludzi. Równo, w długich szeregach ustawili karabiny i moździerze, leżą granaty. Tuż obok stoją Mukti Bahini. W zielonych mundurach, boso, z automatycznymi pistoletami przewieszonymi na piersiach. Na trybunie organizatorzy widowiska co pewien czas wnoszą okrzyki: „Joy Bangla!” – raduj się Bengalio! Wchodzimy na trybunę, by z podwyższenia zrobić zdjęcia w ogólnym planie. Sławek Sławkowski podchodzi do wznoszącego okrzyki, wyjmuje mu z ręki mikrofon i woła z całych sił: „Joy Bangla!” Odpowiada mu to samo pięćset tysięcy gardeł. Aż trzęsie się trybuna. Kiedy Sławek mówi, że jesteśmy z Polski wybucha huragan oklasków! O Polsce wiedzą tu jedynie, że głosowała w ONZ za uznaniem Bangladeszu i że panuje u nas socjalizm.

Nieopodal trybuny zebrali się bengalscy harcerze. Ćwiczą właśnie musztrę pod rozkazami starszych braci z Mukti Bahini, tyle że zamiast karabinów używają bambusowych patyków. Wymowna jest symbolika tych dwóch scen. Gdy starsi oddają broń, najmłodszy uczy się nią władać. Nikt, żaden Pakistańczyk nie nazwie ich już „tchórzliwymi Bengalczycami.”

Służby porządkowe zaczynają usuwać z trybuny dziennikarzy bengalskich i zagranicznych. Zamierzamy opuścić podium jak inni, ale powstrzymuje nas szef całej uroczystości. Wy możecie zostać, jesteście naszymi gośćmi i przyjaciółmi. Zastanawiam się, czemu zawdzięczamy to wyróżnienie. Wicekonsul, który zna

doskonale mentalność Bengalczyków, mówi: to proste, nie zdarzyło się jeszcze na żadnym wiecu, by przybysz z Europy czy Ameryki, słowem biały człowiek, wznosił okrzyki na cześć Bangladeszu.

Z prawej strony dobiega do nas narastający szum. Zebrany tłum zaczyna falować. Okrzyki „Joy Bangla” potężnieją. Nadjeżdża właśnie Mudżibur Rahman, towarzyszy mu najślawniejszy bojownik, Tiger Siddiki. Patrząc na niego pierwszy raz w życiu, ale mam uczucie, że już go gdzieś widziałem. Ależ tak, gdyby zamiast kapelusza miał na głowie beret...sposobem poruszania się, fryzurą i sylwetką przypomina Che Guevarę. Widocznie wszyscy bojownicy – rewolucjoniści mają jakieś wspólne cechy.

Bangabundhu i Tiger przechodzą przed stojącymi na baczność oddziałami Mukti Bahini. Zaczyna się uroczystość zdawania broni. W stronę Mudżibura Rahmana i Kader Siddikiego sprężystym krokiem, z karabinem w obu rękach wyciągniętymi do przodu, zbliża się żołnierz z Mukti Bahini. Przekazuje karabin swojemu dowódcy, Kader Siddiki klęka przed premierem Rahmanem i składa u jego stóp karabin – symbol. Bangabundhu schyla się po broń, podnosi ją z ziemi i w obu rękach unosi w górę, nad głowę. Potem obejmuje po kolei Siddikiego i towarzyszących mu dowódców, przytula mocno do piersi i jak ojciec synów całuje w czoło. Jest w tej scenie coś, co ściska gardło i zmusza do refleksji, nie tylko przez swą uroczystą a niezwykłą oprawę, ale przede wszystkim przez swoją treść. Oto Bangladesz stawia pierwszy krok w kierunku stabilizacji i likwidacji chaosu.

## **Organizuje się życie**

Poruszamy się po Bangladeszu fiatem 125p, udostępnionym przez konsulat. Samochód nadspodziewanie dobrze zdaje w tym klimacie egzamin, przez cały czas pobytu ani razu się nie zepsuł. Na drogach obowiązuje ruch lewostronny, ale nie to stanowi niebezpieczeństwo, tylko kierowcy. Pakistańczycy uciekając w

pośpiechu z Bangladeszu pozostawili samochody. Natychmiast przejęli je Bengalczycy, nie wszyscy mają prawa jazdy i oni stanowią pierwszy i największy problem. Drugim są przeprawy na rzekach. Mosty zburzyła armia pakistańska, do promów więc ustawiają się długie kolejki. Nie wszyscy kierowcy opanowali sztukę wjeżdżania na prom. Obserwujemy jak pewien Bengalczyk usiłuje pokonać podwyższony wjazd volkswagenem – garbusem i za każdym razem zjeżdża do tyłu. Ludzie zgromadzeni na brzegu rzeki obserwują te wysiłki ze stoickim spokojem. Tylko nasz Sławek nerwowo nie wytrzymuje. Kiedy niefortunny kierowca po raz kolejny zsuwa się ze stromego podjazdu, podchodzi zdecydowanym krokiem do volkswagena, prosi właściciela, by wysiadł, siada za kierownicą, dodaje gazu i niemal wskakuje na pokład. Ludzie czekający na przeprawę nagradzają go oklaskami i pozwalają, by poza kolejką, własnym pojazdem, wjechał na prom. Trudno odmówić, z takiej propozycji Sławek nie zrezygnuje, natychmiast dodaje gazu i już jest, wychodzi z fiata i klaszcząc w dłonie dziękuje za uprzejmość i brawa, pozdrawia zebranych już swojskim: „Joy Bangla” ! Nasze zdziwienie sięgnie zenitu dopiero przy następnej przeprawie. Po dwudziestu kilometrach jazdy znowu ustawiamy się w kolejce oczekujących samochodów. I tu następuje niespodzianka. Po kilku minutach oczekiwania podchodzi do nas Bengalczyk, z urzędową miną, proponuje opuszczenie kolejki i zaprasza na prom. Ustępuję mu miejsca, siadam z tyłu przy Bogdanie i ruszamy. Kiedy dojeżdżamy już do brzegu, Bengalczyk wysiada z fiata i pokazuje Sławkowi, aby ustawił się na pierwszym miejscu. Zadajemy sobie pytanie, co się stało? Przecież z poprzedniej przeprawy nie mogli zadzwonić i opowiedzieć kolegom, jak Sławek pokonał stromy wjazd. Łączność telefoniczna nie istnieje. Nie ma też na brzegu żadnego budynku, są tylko zwalone przęsła mostu. Tego dnia wszystkie przeprawy pokonywaliśmy poza kolejnością.

Na brzegach rzek, przy promowych przeprawach natychmiast organizuje się życie. Chłopcy sprzedają w tym upale zimną coca-colę, a dziewczynki żebrzą. Można tu kupić posiłek, a

nawet żywe ryby, trzymane przez rybaków na sznurkach przewleczonych przez skrzela.

W Dhace prawie codziennie odbywają się różnego rodzaju pochody. W miarę upływu czasu zmienia się ich charakter, już nie słychać radosnego: „Joy Bangla”! Manifestanci zgłaszają teraz postulaty pod adresem rządu: bezrobotni żądają pracy, żebracy – żywności, chorzy – lekarstw. Bangladesz jest zaliczany do najbiedniejszych krajów świata. Jak rząd Mudżibura Rahmana sprosta temu morzu potrzeb? Bez pomocy bogatych państw nie jest to możliwe.

Na jednym ze skwerów miasta umierają ludzie chorzy na cholere. Na chodnikach ulic pełno żebraków z wyłupionymi oczami, bez nóg, bez rąk. W tym najbiedniejszym kraju świata dzieciom, zaraz po urodzeniu, nędzarze łamią rączki bądź nóżki, by gdy podrosną wzbudzały większą litość, kiedy zaczną żebrać. Ich los przesądza się zaraz po urodzeniu. Nie dostają od życia żadnych szans, nawet tego złudzenia, iż są równi wobec prawa. Będą jak ich rodzice, żebrakami. Żebractwo w Bangladeszu jest społecznie akceptowane. Istnieje tu związek zawodowy żebraków. Przed siedzibą lokalnego komitetu partii komunistycznej na chodniku leżą ludzie okaleczeni i proszą o wsparcie. Działacze komitetu objaśniają, że są to członkowie partii, którzy dzielą się użebranymi pieniędzmi z partią właśnie. Partia komunistyczna, zdelegalizowana przez władze Pakistanu, teraz działa legalnie i zyskuje wpływy w najbiedniejszych warstwach społeczeństwa. Czerwone flagi z sierpem i młotem wiszące na budynkach czy niesione w manifestacjach nie należą w Bangladeszu do rzadkości. Wpływy partii w społeczeństwie zwykło tu się mierzyć liczbą ludzi zgromadzonych na wiecach. Na pierwszy wiec w Dhace, zwołany przez komunistów, przyszło ponad trzydzieści tysięcy ludzi.

Pierwsze samoloty z pomocą, jakie wylądowały na lotnisku w stolicy Bangladeszu, przyleciały ze Związku Radzieckiego. W styczniu 1972 roku istniała w tym kraju tylko jedna partia komunistyczna, można ją nazwać proradziecką. Czy powstanie

prochińska?

## Odra w Dhace

W czasie robienia zdjęć na ulicach Dhaki podszedł do nas młody człowiek prosząc o wsparcie. Był schludnie ubrany, nie widać było na nim śladów zaniedbań, ani biedy. Dostrzegłszy nasze zdziwienie, szybko wyjaśnił, iż jest studentem miejscowego uniwersytetu i aby rozwiać do reszty nasze wątpliwości pokazał dokument, w którym napisano, że jest biednym studentem i władze miasta pozwalają mu żebrać. Gdy dowiaduje się, że przyjechaliśmy z Polski, informuje, że na jego uczelni, na wydziale fizyki, pracuje polski komputer i prowadzi nas na uniwersytet. W dużej sali stoi urządzenie o rozmiarach kilku szaf. Bogdan Saganowski pierwszy dostrzega napis: „Odra.” Jest to rzeczywiście komputer znad Odry, wyprodukowany we Wrocławiu. Nie ulega wątpliwości, że go sfilmujemy, by w ramach „propagandy sukcesu nakazanej nam przez partię”, jak to się teraz mawia, pokazać go nad Wisłą. Że to ciekawostka? Nie ma żadnych ciekawostek! Jest tylko propaganda. Szukamy kogoś, kto uruchomi tę szafę, bo migające światełka zawsze ubarwiają obraz. Uprzejmy student, który udał się na poszukiwania człowieka obsługującego komputer, po kilku minutach wraca ze smutną miną. Okazuje się, że dwaj technicy, którzy przeszli przeszkolenie w Polsce, już tu nie pracują. Zostali zatrudnieni w warsztacie naprawy samochodów, bo tam więcej zarabiają. Sławek wyraża głośno swoje wątpliwości, przecież umiejętność obsługiwanania komputera nie daje kwalifikacji potrzebnych przy naprawie samochodu. Student patrzy na Sławka zdumiony. Ty chyba żartujesz – mówi – człowiek, który potrafi naprawić tak skomplikowane urządzenie jak ten komputer, z łatwością poradzi sobie z każdym samochodem.

Bengalczyki są ludźmi bardzo gościnnymi i uprzejmymi. Student żebrak okazał nam tyle życzliwości – nie przesadzę, gdy napiszę serdeczności – że nie wiedzieliśmy jak się z nim rozstać. Nie wypadało dać mu kilka rupii. Zbliżała się pora

obiadu, więc zaprosiliśmy go do chińskiej restauracji prowadzonej przez pana Minga, w której się stołowaliśmy od samego początku pobytu w Dhace. Poprosiliśmy naszego cicerone, aby wybrał jakieś bengalskie danie, które lubi najbardziej. Zamówił rosół z ryby, a na drugie duszonego węża z ryżem i sałatką z młodych pędów bambusa, kha-nun, i avocado, przybraną ananasem.

Sławek spostrzegł, że Bogdan nie ma rozradowanej miny, pocieszył więc swojego asystenta: bądź zadowolony, że nie zamówił jednego z tych piesków, które biegają po podwórku.

Pan Ming, człowiek nadzwyczaj uprzejmy, wiedząc że jesteśmy łąsi na wszelkie wiadomości odpowiadał chętnie na wszystkie pytanie. Zrozumiałe, że najwięcej mówił o własnej firmie. Przed wojną dziewięciomiesięczną z Pakistanem, jego restauracja była zaliczana do piątki najlepszych w Dhace. Wojna doprowadziła go na krawędź ruiny, bo nie ma nic gorszego niż wojna połączona z rewolucją. Przed rokiem bywała w jego restauracji wytworna klientela, biznesmeni, dziennikarze, oficerowie i artyści, ma się rozumieć także wyżsi urzędnicy państwowi i prawnicy. W ciągu tych fatalnych dla pana Minga miesięcy ograbiono lokal prawie doszczętnie. Zabrano dwa telewizory, lodówkę, nawet fotele. Proszę spojrzeć, dodawał ze smutkiem pan Ming, na ścianach są widoczne jeszcze miejsca po obrazach, które tu wisiały. Nie były to żadne falsyfikaty a obrazy malowane przez znanych artystów w Chinach i tu sprowadzone. Dalej gospodarz wyrażał nadzieję, że teraz, gdy Bangladesz ma już legalny rząd, a na jego czele stoi szejik Rahman, znowu wrócą normalne czasy. Pan Ming nie jest wyjątkiem, podobnie jak większość Bengalczyków wiąże swoje nadzieje na przyszłość z Mudżiburem Rahmanem.

## **Przywódcy na trudne czasy**

Tymczasem premier Rahman zdaje sobie sprawę z tego, w jak trudnym położeniu znajduje się jego kraj i nie obiecuje

społeczeństwu zbyt wiele, w każdym razie nic konkretnego nic, czego nie mógłby wykonać. Gwarantuje rządy demokratyczne, pokój i świecki charakter państwa. Państwo świeckie to niezmiernie istotna zmiana, wszak Pakistan Wschodni był częścią Islamskiej Republiki Pakistanu. Brytyjczycy opuszczając Indie utworzyli nowe państwo – Pakistan, według kryteriów wyznaniowych. W swoich przemówieniach wspomina o demokratycznym socjalizmie, ale bliżej nie precyzuje, co przez to rozumie. Na pytania dziennikarzy dotyczące problemów kraju odpowiada: poczekajcie, wkrótce zobaczycie. Nie określa też dokładnie zasad, na jakich zostanie oparty model gospodarczy nowego państwa. Uruchomienie przemysłu i odbudowa kraju, uniknięcie klęski głodu są przedmiotem największej troski Rahmana. Pierwsza konferencja prasowa premiera zgromadziła jeszcze więcej dziennikarzy z całego świata niż ceremonia zaprzysiężenia rządu. Wiele ekip filmowych i telewizyjnych dojechało tymczasem do Dhaki. Na tarasie, gdzie odbędzie się konferencja, robi się coraz tłoczniej. Stolik, przy którym za chwilę usiądzie premier Rahman, nie może pomieścić mikrofonów. Nie dla wszystkich dziennikarzy starcza krzeseł. Operatorzy instalują około czterdzieści kamer filmowych i telewizyjnych. Ledwo Mudżibur Rahman pojawił się w drzwiach, dziesiątki aparatów fotograficznych odezwało się trzaskiem migawek i błyskiem fleszów. Mudżibur Rahman odczytuje oświadczenie rozdane uprzednio dziennikarzom. Do tekstu drukowanego wprowadza tylko jedną zmianę. Po podziękowaniu Indiom, ZSRR, Polsce i innym krajom za poparcie walki Bengalczyków dziękuje tej części amerykańskiego społeczeństwa, która solidaryzowała się z ruchem narodowo-wyzwoleńczym jego kraju. Z sali natychmiast pada pytanie, czy premier widzi różnice między postawami amerykańskiego rządu i społeczeństwa? „A pan nie widzi?” – pada odpowiedź.

Konferencję kończy Mudżibur Rahman oskarżeniem armii Pakistanu, która w ślepych obłądziej nienawiści mordowała bezbronną ludność, burzyła szkoły i paliła wsie. Niedziela, szesnastego stycznia, została ogłoszona Dniem Narodowej

Pamięci. Na dziedzińcu uniwersytetu w Dhace odbył się wiec. W miastach i wsiach przeszły pochody z flagami Bangladeszu przybranymi krepą. W miejscach mordów ludzie składali kwiaty i zawieszali tablice z nazwiskami pomordowanych. Dopiero tej niedzieli zobaczyliśmy, ile jest grobów na ulicach Dhaki. Jak w Warszawie!

Od paru dni Dhaka przygotowywała się do powitania proroka bengalskich chłopów, maulany Abdul Hamida Khana Bashaniego. Bashani wracał z wygnania do ojczyzny. Powstał nawet komitet, który zajął się organizacją powitania sędziwego przywódcy najbiedniejszych chłopów, a gazety opublikowały wiadomość, że rząd przygotował dla Bashaniego miejsce w szpitalu. Nie pojechaliśmy na lotnisko, ze źródeł związanych z premierem dowiedzieliśmy się, że Bashani nie wylądaje w Dhace. Wyruszyliśmy do Shantos, rodzinnej wsi maulany – nauczyciela. Zdążyliśmy w samą porę. Właśnie na plac wtaczała się ogromna ciężarówka z dobytkiem Bashaniego i podarkami, jakie w drodze powrotnej z Indii otrzymywał od chłopów. Bashaniego, sędziwego, osiemdziesięciodziewięcioletniego przywódcę z długą, białą brodą patriarchy otoczył tłum ludzi. W zgiełku orkiestr chłopskich trudno było usłyszeć jego głos, głos nauczyciela. Nie wyglądał na człowieka schorowanego, choć rzeczywiście cierpiał na cukrzycę i towarzyszył mu w podróży lekarz. Do Shantos ściągnęły tysiące bezrolnych chłopów. To właśnie do nich maulana powiedział: „Allah nie pomoże temu, kto sobie sam nie pomoże”. W kilka dni po powrocie ogłosił, że przechodzi do opozycji i skrytykował rząd za sojusz z Indiami. Tylko on mógł sobie na to pozwolić, nikt bowiem nie równał się z nim w zasługach, jakie wniósł, budząc narodową świadomość wśród bengalskich chłopów.

Życie w Dhace wróciło do normalności, Air India wznowiła loty samolotów do Kalkuty, Karim, dwudziestoczteroletni służący wicekonsula, u którego mieszkałem, pewnego wieczoru poprosił swojego pracodawcę o tydzień urlopu, otrzymał bowiem radosną wiadomość, że żona urodziła mu syna. Zdumiony wicekonsul



zapytał: „Wybacz Karimie, o ile pamiętam od dwóch lat nie byłeś w domu?” „ To prawda, panie, ale w domu jest przecież mój brat. Syn jest mój, bo żona należy do mnie”.

Nie wiem, czy Karim okazywałby taką radość, gdyby jego żona powiła córkę? Córce, ojciec musi zapewnić posag! A to pod tą szerokością geograficzną stanowi poważny problem. Gdy pracownikowi polskiego konsulatu, Bengalczykowi, urodziła się piąta córka, przez kilka dni, ze zmartwienia, nie zamienił z nikim ani jednego słowa.

## Powrót

My też zaczęliśmy myśleć o powrocie do Indii, gdzie to na dwutygodniowy pobyt zaprosiła ekipę Polskiej Kroniki Filmowej pani premier Indira Gandhi.

W Bangladeszu czekało nas jeszcze spotkanie z premierem Mudżiburem Rahmanem. Wywiad z premierem Bangladeszu Mudżiburem Rahmanem przeprowadzaliśmy pod gołym niebem. W ogrodzie przed jego domem zasiadła cała rodzina: syn i starsza córka, zięć, żona premiera i sędziwy ojciec. Nie pojawiła się tylko najmłodsza, niezamężna córka, przepiękna młoda dama, bowiem zwyczaj na to nie pozwalał. Spotkaliśmy ją wcześniej na bazarze kupującą owoce. Premier podziękował Polsce za wsparcie i pomoc, zapewnił, że Bangladesz będzie korzystał z naszych doświadczeń w rozwiązywaniu własnych problemów. Już po skończonym wywiadzie zapytał nas o wrażenia. Odpowiedzieliśmy, że mamy bogaty materiał filmowy o pierwszych dniach wolności Bangladeszu. Nie udało nam się zrobić jedynie zdjęć z lotu ptaka. Pożegnaliśmy się z premierem i jego rodziną.

W przeddzień odlotu do konsulatu nadeszła wiadomość, że samolot pasażerski bengalskiej armii czeka na nas na lotnisku w Dhace. Od pilota dowiedzieliśmy się, że jest to jedyny samolot, jakim dysponują siły lotnicze Bangladeszu. Mieliśmy szczęście, zrobiliśmy zdjęcia Bangladeszu z lotu ptaka!

Kiedy samolot Air India wzniósł się w powietrze, przypomniałem sobie słowa prezydenta Pakistanu, Jahyi Khana, które wypowiedział o swoim więźniu, Mudżiburze Rahmanie, opublikowane w „Newsweeku” w listopadzie 1971 roku: „Wiele osób – powiedział dziennikarzowi – może mi nie wierzyć, lecz sądzę, że gdyby Rahman powrócił do Wschodniego Pakistanu, zabiliby go jego własni ludzie. Uważają, że jest on odpowiedzialny za ich cierpienia...”

Oglądałem ten powrót! Triumfalny przejazd ulicami Dhaki i drogami kraju. Słyszałem jak miliony ludzi, aż do zachrypięcia, skandowały: „Joy Bangla!” To prawda, szejk Mudżibur Rahman nie wracał do Pakistanu Wschodniego, a do wolnego Bangladeszu. Widzowie Polskiej Kroniki Filmowej mieli możliwość obejrzeć na ekranach narodziny nowego państwa – Bangladeszu. Także w kolorowym filmie pt. „Bengalia”.

W trzy dni po naszym powrocie do kraju w prasie ukazała się wiadomość PAP, że jedyny samolot, jakim dysponowała armia Bangladeszu, rozpadł się w czasie lotu.

Autorstwo: Mirosław Chrzanowski

Źródła: [Trybuna.info](http://Trybuna.info), [Pekaefczyk.com](http://Pekaefczyk.com)